



**PROF. DR HAB.
DARIUSZ KOSIŃSKI**

Profesor w Katedrze Performatyki Wydziału Polonistyki UJ. Były wiceprezes Polskiego Towarzystwa Badań Teatralnych. Najważniejszy nurt jego pracy naukowej to badania nad swoistością polskiej tradycji teatralnej i performatywnej. Zajmował się też historią i teorią sztuki aktorskiej XIX wieku, performatyką przedstawień oraz twórczością Jerzego Grotowskiego. Autor licznych publikacji, w tym książek: *Sztuka aktorska Wandy Siemaszkowej* (1997); *Sztuka aktorska w polskim piśmiennictwie teatralnym XIX wieku* (2003); *Dramaturgia praktyczna. Polska sztuka aktorska XIX wieku w piśmiennictwie teatralnym swej epoki* (2005); *Sceny z życia dramatu* (2004); *Polski teatr przemiany* (2007); *Teatra polskie. Historie* (2010); *Teatra polskie. Rok katastrofy* (2012); *Grotowski. Przewodnik* (2009); *Grotowski. Profanacje* (2015); *Farsy-misteria* (2018); *Performatyka. W(y)prowadzenia* (2016); *Uciec z Wesela* (2019). Obecnie współpracuje jako krytyk teatralny i publicysta z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Olimp w nikąd

1.

CHOĆ WYJECHAŁEM z rodzinnego miasta ponad trzydzieści lat temu i więcej czasu spędziłem poza nim niż w nim, wciąż zdarza się, że ktoś zadaje mi pytanie, skąd jestem. Nie odpowiadam wtedy ani o swoim obecnym miejscu zamieszkania, ani o swoim miejscu pracy (chyba, że dokładnie tego dotyczy pytanie), ale o miejscu, z którego się wywodzę i z którego wyjechałem. Mówię, że jestem znikąd, czyli z Zawiercia.

Ta odpowiedź traktowana bywa zazwyczaj jako tania złośliwość albo wyraz jakiegoś kompleksu prowincjusza. Złośliwy w stosunku do swojego miejsca urodzenia bywam, kompleks prowincjusza pewnie mam, ale nie o to chodzi. Odpowiedź „znikąd, czyli z Zawiercia” jest precyzyjna, bo Zawiercie, z którego w roku 1985 wyjechałem, to modelowe „nie-miejsce”. Miasto, stworzone przez kolej warszawsko-wiedeńską i rozwijający się gwałtownie wokół stacji przemysł, było do 1918 roku czymś w rodzaju małej „ziemi obiecanej”: konglomeratem wielu kultur i narodowości, które łączyło to, że wszystkie były nie stąd – wszystkie przyjezdne. Polscy przemysłowcy (zasłużona i prawdziwie pozytywistyczna rodzina Szymańskich) i robotnicy, żydowscy przemysłowcy, kupcy i rzemieślnicy, niemieccy przemysłowcy i inżynierowie – budowali przez kilkadziesiąt lat to miasto, tworząc je na ziemi wcześniej pustej i niczyjej, kulturowo gdzieś na pograniczu Kielecczynny, Zagłębia i Małopolski, geograficznie na uboczu Jury

Krakowsko-Częstochowskiej – zawsze nieodmiennie na marginesie. Gdyby nie II wojna światowa i Szoah, a potem komunizm i wygnanie Niemców oraz upaństwowienie przemysłu, miasto może miałoby szanse zaistnieć. Ale ledwo pojawiły się pierwsze pokolenia pochodzące „stąd”, historia położyła im kres. Żydów wywieziono i zamordowano, Niemcom kazano się wynosić, polskim przedsiębiorcom i mieszkańcom pozabierano majątki. Wielka fala migracji przyniósła do opuszczonych domów i przejętych fabryk nowych mieszkańców, głównie porzucających swoje rodzinne wsie chłopów – takich jak moi dziadkowie ze strony mamy. Dla nich Zawiercie nie było miastem. Ci wykorzeni ludzie traktowali je jak wielkie „nigdzie”, a ten stosunek do miejsca mniej lub bardziej przypadkowego osiedlenia dziedziczyły też ich dzieci i wnuki, z których wielu od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wyjechało na mityczny Zachód. Być może teraz jest już jakaś nowa warstwa takich, którzy są „stąd”. Ale ja ich nie znam. O dzisiejszym Zawierciu nic prawie nie wiem. Odwiedzam je, bo odwiedzam mamę i groby na cmentarzu, ale łączy mnie z nim tylko przeszłość, a ta jest „z Zawiercia, czyli znikąd”. I tym „nikąd” pozostaje naznaczona.

2.

JEŚLI WRACAM do tego piętna w tekście przeznaczonym do tomu jubileuszowego Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, to czynię tak nie z chęci dzielenia się wspomnieniami, ale z dwóch powodów: biograficznego i merytorycznego. Pierwszy wiąże się z tym, że to właśnie Olimpiadzie zawdzięczam otwarcie drzwi do wyjazdu. Oczywiście i bez tego, że miałem szczęście być laureatem edycji z roku 1985, z Zawiercia bym wyjechał, ale kto wie, gdzie zawiózłby mnie pociąg, do którego bym wtedy wsiadł. A dzięki Olimpiadzie (z której pamiętam głównie słowa profesora Michała Głowińskiego, wychodzącego po obradach komisji finału: „dobrze panu poszło”) i uzyskanemu w jej efekcie indeksowi

mogłem śmiało składać dokumenty do wymarzonego Krakowa, na niemal mityczny dla prowincjusza Uniwersytet Jagielloński.

Powód drugi jest bardziej złożony: Olimpiada to spotkanie z autorytetami i mentorami, więc pomyślałem, że jubileuszowy tom to dobre miejsce, by opowiedzieć o własnym mentorze, który wprawdzie z moją Olimpiadą nie miał wiele wspólnego (poznałem go już po niej), ale poprzez swój dorobek, postawę, rolę, jaką odegrał w moim i nie tylko moim życiu, kojarzy mi się nieodmiennie z wartościami, jakie Olimpiada reprezentuje, a także z rolą, jaką odgrywa w życiu ludzi pochodzących tak jak ja – znikąd.

Zapewne niewielu czytelników tej książki o nim słyszało, więc najpierw pozwolę sobie przedstawić: Bogdan Dworak, rocznik 1932, poeta, pisarz, dziennikarz, animator kultury lokalnej. Urodzony w Zawierciu, wyjechał stąd na studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Był jednym z młodych przedstawicieli pokolenia „Współczesności”. Jak sam opowiadał, na studiach przyjaźnił się z Martą Fik i z Martą Piwińską, należał do otoczenia Jerzego Andrzejewskiego. Prowadził życie stołecznego literata, które w pewnym momencie porzucił, by wrócić do „nikąd”. Od początku lat osiemdziesiątych XX wieku poświęcił się niemal całkowicie prowadzonej do dziś działalności inicjowania, animowania i organizowania życia kulturalnego Zawiercia. Jako wieloletni działacz Towarzystwa Miłośników Ziemi Zawierciańskiej i kierownik należącego do niego Klubu „Novum” stworzył w nim prężny ośrodek twórczości artystycznej. Zainspirował powstanie środowiskowej grupy poetyckiej „Szalej” (do której należałem, o czym za moment). Stworzył grupę teatralną „Otwarty Balkon”. Zorganizował i prowadził całą serię wydarzeń kulturalnych, od comiesięcznych (odbywających się do dziś) „Czwartków Literackich” przez wieczory poezji po przedstawienia teatralne (m.in. gościnne występy Andrzeja i Mikołaja Grabowskich z inscenizacjami tekstów Bogusława Schaeffera). Nie dysponując prawie żadnymi środkami, zamienił „Novum” w salon kulturalny miasta, którego sam był gospodarzem i *spiritus movens*.

Po roku 1989, w zmienionej sytuacji, kontynuował działalność, z uporem przeciwstawiając się dominującym zwłaszcza w pierwszej dekadzie transformacji trendom konsumpcjonistycznym. Mimo wyjazdu wielu wychowanków i współpracowników nadal przyciągał nowe osobowości, konsekwentnie odbudowując autentyczne, a nie „impresaryjne” życie kulturalne miasta niezwykle boleśnie dotkniętego przez procesy przekształceń gospodarczych. Prowadził działalność w zakresie animacji kultury, a także publicystyki. Publikował kolejne książki poświęcone Zawierciu i jednocześnie spoglądające na świat z perspektywy lokalnej (m.in. *Korzenie czy ksenofobia*, 1995; *Z pozycji niekoniecznie wapniaka*, 1998; *Fora ze dwora(k)*, 1998; *Dokumenty i ludzie*, 2007; *Mieszkam za darmo w każdym z was*, 2013); wydał też tomy poetyckie (*Obliczone z metafor*, 1984; *Obrzęk*, 1994). Został odznaczony złotą odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Zawiercia.

Mimo tych wymiernych dowodów uznania znaczenie działalności Bogdana Dworaka trudno jest zmierzyć. Polega ono zasadniczo na dwóch czynnikach: specyfice lokalnego kontekstu i całościowym zaangażowaniu osobistym. Bogdan Dworak z uporem i konsekwentnie walczy o odtworzenie i niemal artystyczne wykreowanie lokalnej tożsamości kulturalnej od zera. Nie tylko animuje miejscową działalność. Nie tylko od lat jest mentorem kolejnych pokoleń młodych ludzi, ale też konsekwentnie udowadnia (także swoją charyzmą, erudycją i elokwencją), że można być obywatelem Europy, intelektualistą o niezależnych poglądach, nie mieszkając w żadnym z metropolitalnych ośrodków. W swojej twórczości publicystycznej i literackiej przypomina historię Zawiercia, budując wręcz jego mitologię i w ten sposób przyczyniając się w ogromnej mierze do umocnienia lokalnej tożsamości zagrożonej po raz kolejny całkowitym rozpadem. Usiłuje uczynić z „nikąd” jakieś „stąd”, głównie przez to, że sam jest właśnie tu, a nie gdzie indziej.

3.

PEWNEGO DNIA (to musiała być wiosna 1985, niedługo po finale Olimpiady, ale jeszcze przed maturami) przyszedł do przedstawionego wyżej załęczniony drągal, zachęcany przez nauczycielkę biologii, by pokazać jej znajomemu „literatowi z Warszawy” rękopisy wierszy, jakie się w młodości pisze i na szczęście w większości przypadków wkrótce przestaje. Nie mogę powiedzieć, że pamiętam tę pierwszą wizytę dokładnie. Mam jakieś niejasne wspomnienia wieczornych światła w oknach, gdy wychodziłem oszołomiony, ale radosny, bo w sposób najzupełniej nieprawdopodobny zostałem potraktowany jak partner przez kogoś o wiele starszego i imponującego mi okropnie elokwencją, pewnością siebie, obyciem, poczuciem humoru i swobodą. Wkrótce wróciłem do mieszkania „pana Bogdana”, jak się wtedy do niego zwracaliśmy, z moim przyjacielem Rafałem Kierzyńką, a potem jeszcze z kilkoma innymi, z którymi dzieliliśmy złudzenia, że tworzymy zawierciańską bohemę. Byliśmy, jak to dziś widzę, strasznie i cudownie młodzi, naiwni, ale jednocześnie piekielnie wrażliwi i cholernie przygnieceni duszną atmosferą gnijącego stanu wojennego, która na polskiej zdeintegrowanej prowincji miała posmak całkowitej beznadziei. Naszym największym pragnieniem było wyjechać. Źle mówię: to nawet nie było pragnienie – to był prosty i oczywisty plan. Dzięki Olimpiadzie wiosną 1985 miałem już w kieszeni indeks Uniwersytetu Jagiellońskiego, Rafał był niemal pewny przyjęcia na wrocławskie prawo. Wiedzieliśmy, że nie zostaniemy w tym mieście, którego najważniejszą arterią była, i wciąż jest, linia kolejowa pozwalająca wyjechać: do Warszawy, Krakowa, Katowic, a choćby i nawet Częstochowy.

Lubię zapach pędzących pociągów
One dają nadzieję na skrzydła.

To pierwszy mój własny wiersz, który mnie samemu wydał się udany (no i podobał się bardzo mojej ówczesnej dziewczynie), a który – co chyba jasne – mówi o cudownym poczuciu stania u progu nowego i pragnienia ucieczki od tego, co zna się aż za dobrze.

Jestem pewien, że ten wiersz dałem też do przeczytania Bogdanowi, bo znalazł się w grupie kilku, które dzięki niemu wydrukowałem w ówczesnej bardzo lokalnej gazecie młodzieżowej wydawanej chyba przez ZSMP. Nie ma wątpliwości – debiutowałem dzięki Dworakowi i chyba nawet dostałem za te wiersze jakieś honorarium, bo pamiętam, jak nam radził, by kupić za nie książkę i wpisać na okładce, że to za pieniądze z debiutu (co też zrobiłem).

Zobaczyć swoje wiersze w druku to oczywiście było coś absolutnie niesamowitego dla niespełna dziesiętnastolatka nieśmiejącego nazywać siebie poetą. Ale w spotkaniu Bogdana wcale nie było najważniejsze to, że umożliwił nam debiut, że uczynił z nas – kilku dość przypadkowo zebranych żółtodziobów – grupę poetycką o wziętej od tytułu wiersza Iwana Bunina nazwie „Szalej”, że opiekował się nami przez kilka lat i dał nam miejsce do występów publicznych i prywatnych. Najważniejsze, jak dziś myślę, było to, że od samego początku traktował nas jak ludzi tego samego plemienia: pisarzy, artystów i intelektualistów, ludzi kultury, ludzi – co tu ukrywać – wyjątkowych. Opowiadał nam o swoich warszawskich znajomych, o literackich i towarzyskich przygodach z czasów „Współczesności”, o Jerzym Andrzejewskim i Zofii Szmydtowej w taki sposób, jakby nawet przez chwilę do głowy mu nie przyszło, że ni w ząb nie wiemy, o czym mówi. Wygłaszał swoje sądy literackie i artystyczne z właściwą mu pewnością siebie, traktując jako oczywiste to, że my także czytaliśmy te wszystkie książki, o których opowiadał i które nawet czasem pokazywał, zdejmując je z półek wypełniających wszystkie ściany w jego ówczesnym mieszkaniu (to była pierwsza tak ogromna prywatna biblioteka, jaką widziałem w życiu). Oczywiście nawet mrugnięciem nie dawaliśmy znać, że nie czytaliśmy, że czasem nazwiska nie byliśmy w stanie powtórzyć. Po wyjściu od Bogdana błyskawicznie staraliśmy

się nadrobić zaległości, bo największą frajdę wszyscy mieliśmy wtedy, gdy można było zabrać głos, wtrącić się, przebić ze swoją opinią. Była to frajda, nawet jeśli Dworak nie zmieniał zdania własnego, a jego kontrargumenty zazwyczaj bywały zabójcze i pozostawało nam tylko uparte powtarzanie, że nie ma racji, coraz bardziej żalosne i dziecinne (wszak wiedzieliśmy dobrze, że ma rację, bo Bogdan ma ją zawsze).

Wiedziałem wtedy i wiem dziś, że Bogdan Dworak to ktoś nieprawdopodobny, ktoś w zasadzie niemający prawa istnieć. Prawdziwy intelektualista o europejskiej skali, z uporem maniaka i wbrew wszystkiemu usiłujący to miasto, wyrosłe na dziko i przez czysty przypadek na niczyjej ziemi oznaczonej linią kolejową, przekształcić w miejsce na mapie ludzkiej wyobraźni. Podejrzewany o najróżniejsze ciemne motywacje, a przynajmniej oskarżany o narcyzm, nie miał naprawdę żadnego interesu w inwestowaniu swojego czasu, wiedzy, także znajomości i obycia w nas – chłopaków z prowincji, którym zamarzyło się, że będą poetami. Prawda jest taka, że był pierwszym, który w nas uwierzył a przez to sprawił, że sami uwierzyliśmy w siebie. Dziś w większości poetami nie jesteśmy, ale to akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Jeśli nie mam większego problemu z posługiwaniem się słowem, a nawet bywam beczelnie i wciąż naiwnie przekonany, że mam coś do powiedzenia innym, to w dużej mierze zawdzięczam to właśnie Bogdanowi Dworakowi, który tego nieśmiałego drągała trzydzieści cztery lata temu (mój Boże...) nie potraktował z góry, ale zobaczył w nim sojusznika, a nawet – pobratymca.